MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 47 WARSZAWA 30 PAŹDZIERNIKA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

ODMIANY NACJONALIZMU

PRZED kilku, a w każdym razie przed kilkunastu laty nie było potrzeby, ujmowania kierunków nacjonalistycznych w pewien system, i porządkowania ich, a to dla tego, że tych kierunków było mało. W Polsce, poza nami, wszyscy odżegnywali się od nacjonalizmu. Dla jednych nasz kierunek był uosobieniem reakcji, dla drugich — zawadą w rozwoju mocarstwowej Polski. Od tego czasu wciąż się rejestruje zwycięstwa nacjonalizmu w innych krajach, a w Polsce nacjonalizm — stał się modny. Wczorajsi Szawłowie wyznają dzisiaj nacjonalizm w ulepszonym, według swego przekonania wydaniu. Dawniej nacjonalizm miał wielu nieprzyjaciół; dzisiaj musi bronić się przed „przyjaciółmi".

W tych warunkach warto przypatrzeć się temu, czem jest nacjonalizm, jakie są jego odmiany i odgałęzienia. Nie brak studiów, poświęconych nacjonalizmom u poszczególnych narodów; ale niedostateczną uwagę zwrócono na badania porównawcze. Można przypisywać dość względne znaczenie klasyfikacji różnych zjawisk i kierunków społecznych, ale zawsze ona może się przydać. Chcąc pogłębić i rozwinąć zasady, które się wyznaje, trzeba je zestawić ze zbliżonemi rzeczywiście lub pozornie zasadami.

Na konkretny kierunek nacjonalistyczny składają się trzy pierwiastki. Jedne są wspólne wszystkim nacjonalizmom, bo wiążą się z najogólniejszem jego pojęciem. Drugie stanowią właściwości pewnych rodzajów nacjonalizmu. Trzecie zaś są wyłączną cechą danego nacjonalizmu, stanowią jego odrębność, gdyż łączą się z temi przejawami życia jakiegoś narodu, które już nie powtarzają się u innych narodów. Otóż jest rzeczą jasną, że przedmiotem klasyfikacji mogą być te drugie pierwiastki. To, co jest wspólne wszystkim nacjonalizmom, nie nadaje się do dalszego rozczłonkowania. Podobnie też, nie możemy ujmować w szersze grupy właściwości, zjawiających się u jednego tylko narodu, które go różnią od wszystkich innych.

Nacjonalizmem nazywamy prąd duchowy, który fakt narodowej wspólności bierze za podstawę życia politycznego i całego zbiorowego życia. Fakt istnienia narodu jest podłożem, na którem wyrasta kierunek czy doktryna nacjonalistyczna. Wyrosła, ale nie zawsze musi wyrastać. Istniały narody, u których świadomość narodowa była słaba — tam nie mógł się zjawić nacjonalizm. Narody nowoczesne, o rozbudzonej już świadomości narodowej, nie zawsze, w całości lub w części, hołdują nacjonalizmowi. Nie odczuwają potrzeby, by wysuwać na czoło pierwiastek wspólności narodowej, jako podstawę politycznej organizacji. Szukają dla niej innych podstaw.

Jakaś grupa społeczna jest zdania, że na pierwszy plan trzeba wysunąć walkę klasową, że wspólność klasy jest ważniejsza od wspólności narodowej. Typowym tego wyrazem jest ortodoksyjny marksizm. Inni znowu na pierwszy plan wysuwają jednostkę, jej prawa; świadomość narodowa jest dla nich przejawem życia jednostki, którem ona swobodnie rozporządza. — Tu znowu mamy do czynienia z „klasycznym" liberalizmem. Te kierunki, klasowe i indywidualistyczne, czasami chcą naród podporządkować pewnej całości społecznej, zrobić z narodu pod względem politycznym część większej całości, a wtedy hołdują kosmopolityzmowi.

Należy jeszcze wyjaśnić, w jakim stosunku pozostaje patriotyzm do nacjonalizmu. Patriotyzm jest wyrazem przywiązania do jakiejś całości, niekoniecznie tylko do narodu; może istnieć patriotyzm miasta czy prowincji i takie patriotyzmy rzeczywiście istniały. Patriotyzm, jako przywiązanie do narodu, jako gotowość walki o jego wartości, nie jest kierunkiem politycznym, lecz raczej żywiołowym faktem. Ma podkład tylko uczuciowy

a nie doktrynalny. Patriotami mogą być ludzie, którzy nie hołdują nacjonalizmowi; wtedy, jak np. w czasie niebezpieczeństwa zewnętrznego, porzucają nawet doktryny, sprzeczne z nacjonalizmem, które dotychczas wyznawali. Patriotyzm nie ogarnia jednak świadomie całego życia narodowego, nie przejawia się we wszystkich jego kierunkach. Próżnoby w patriotyzmie dopatrywać się zawiązków nacjonalizmu. Nacjonalizm to świadomy patriotyzm, normujący całe życie narodowe; to patriotyzm na codzień, a nie tylko w chwilach wielkich wstrząsów dziejowych.

Próżnoby starać się o to, by jeszcze dokładniej określić treść, wspólną wszelkim nacjonalizmom, ale zawsze będziemy musieli poprzestać na bardzo ogólnych określeniach. Życie narodów jest bardzo bogate i różnorodne, bogatym i różnorodnym jest świadomy wyraz polityczny tego życia; dlatego też generalna definicja nacjonalizmu, stosująca się do nacjonalizmów całego świata, musi być bardzo uboga. Można o nacjonalizmie nabrać dokładniejszego pojęcia wówczas, gdy się weźmie pod uwagę różne jego odmiany.

Jego klasyfikację można przeprowadzić z różnych punktów widzenia. Najpierw odróżnijmy nacjonalizm, któryby można nazwać mesjanicznym nacjonalizmem narodów wybranych, od nacjonalizmu, który nie przejawia tych tendencji. Każdy naród stawia wysoko swą odrębność narodową, nad inne polityczne wartości. Ale jeżeli cenię tę odrębność, to z tego nie wynika, że uważam ją za coś wyższego od obcych wartości narodowych; za coś, co uprawnia mój naród do panowania nad innemi narodami, do panowania nad światem. Przeciwieństwem tego jest idea narodu wybranego, właściwa nie tylko żydom, lecz i niekiedy ich wrogom, którymi np. są współczesne Niemcy.

Polski nacjonalizm będzie cenił swe odrębności dla tego, że są odrębnościami jego narodu; dzisiejszy niemiecki nacjonalizm (nie tylko zresztą dzisiejszy) uważa się za powołany do panowania nad innymi. Obojętne jest, czy uważa rasę niemiecką za wyższą od innych ras; istotnem jest przekonanie o absolutnej wyższości tego, co jest niemieckie. Wyraża się to w negatywnym stosunku do obcych kulturalnych wpływów, w szczególności do uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Następnie możemy odróżnić nacjonalizm tradycjonalistyczny od nacjonalizmu racjonalistycznego. Pierwszy, negując potrzeby ciągłej twórczości dziejowej w życiu narodu, chce to życie opierać na pierwiastkach, które już urobiły się w jego przeszłości, widzi w nich źródło narodowych wartości. Drugi gwałtownie stara się przebudować naród, w myśl powziętego planu chce przeobrazić jego psychikę, nawet jego charakter narodowy. Przeciwstawiając się ostro innym narodom, stara się je naśladować w tem wszystkiem, w czem widzi ich wyższość. Przyznaje się do ciągłości życia z poprzedniemi pokoleniami narodu, ale nie czerpie u nich wzorów. Patrzy więcej w teraźniejszość i przyszłość, aniżeli w przeszłość.

Przykładem takiego racjonalistycznego nacjonalizmu, najbardziej wymownym, jest współczesny turecki nacjonalizm, prowadzony przez Kemala Paszę. Podniósł on wysoko znaczenie Turcji; ale zarazem wszystkie jego reformy zmierzają do tego, by zmienić jej oblicze. Turcja dzisiejsza jest bardzo mało podobna do Turcji wczorajszej. Łatwo stwierdzić, że nie wszystkie narody stanowią materiał, podatny do takich przeobrażeń.

Możemy jeszcze zrobić jedno odróżnienie: między nacjonalizmem oryginalnym i naśladowniczym. Pierwszy wypracowuje własną doktrynę, własny pogląd na świat, wnosi naprawdę twórcze pierwiastki do dorobku duchowego narodu. Drugi zaś rozwija się pod wpływem jakiegoś potężnego obcego nacjonalizmu. W jego sukcesach znajduje podnietę, w jego myślach i sformułowaniach pokarm duchowy. Nacjonalizm naśladowniczy przejmuje od obcego nawet terminologię swych sformułowań, a także i zewnętrzne formy organizacyjne.

Oczywiście, że sama okoliczność, iż jakiś szczegół został przejęty, nie odbiera oryginalności nacjonalizmowi innego kraju. Po całym świecie rozpowszechniły się włoskie „koszule", nawet w zimnych klimatach, co bynajmniej nie dowodzi, że tylko włoski nacjonalizm jest twórczy. Jednakże zdobycze polityczne jakiegoś narodu, wiążące się u niego z przejęciem władzy przez nacjonalizm, mogą łatwo wywołać u innych narodów, duchowo mniej odpornych skłonność do naśladowania już gotowych wzorów, a osłabić własne życie duchowe.

Czy można jeszcze dalej prowadzić te odróżnienia? Oczywiście, by przyszło zgromadzić jeszcze wiele innych przykładów zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę kryteria z dziedziny zagadnień ustrojowych, tak politycznych jak i gospodarczych. Ale te kryteria są dość zawodne, nie łączą się bowiem organicznie z samą istotą nacjonalizmu. Nacjonalizm jakiegoś kraju, jeżeli jest dostatecznie jednolity i zorganizowany, ma określony pogląd na prawno-polityczny ustrój państwa, na jego strukturę społeczną, na własność prywatną, na podstawy gospodarczego życia. Ale te poglądy ulegają głębokim zmianom, nawet w najbardziej skrystalizowanych nacjonalizmach. Wystarczy wymienić program społeczny hitleryzmu przed objęciem władzy i po jej objęciu, jak również i ewolucję polityki gospodarczej faszyzmu.

Nacjonalizm nie jest organicznie związany z żadną doktryną społeczną czy polityczną. Nie wynika z nacjonalizmu ani tendencja do rządów dyktatorskich ani do elitaryzmu ani do tak zw. totalizmu. Nacjonalistyczną może być zarówno polityka gospodarcza, która przez wolne współzawodnictwo wprawia w ruch siły gospodarcze narodu, jak i polityka etatystyczna, zbliżająca się do kolektywizmu. Wszystkie te pierwiastki nabierają pełnego znaczenia w konkretnych warunkach czasu i miejsca. Nadają wysoką treść nacjonalizmowi tego lub innego narodu, a nie dadzą się ująć w ogólne schematy klasyfikacyjne.

I gdy się weźmie pod uwagę te odróżnienia, które zrobiliśmy poprzednio, jak również i wielkie bogactwo form nacjonalizmu i jego wewnętrznej treści u różnych narodów, dojdziemy do wniosku, że niepodobna jest wypracować jakiejś czystej, oderwanej doktryny nacjonalizmu, którąby wszędzie znajdowała zastosowanie. Próba klasyfikacji odmian nacjonalizmu prowadzi raczej do

wniosku, że nie ma jednego nacjonalizmu, że są różne nacjonalizmy. Istnieje do pewnych granic wspólny termin „nacjonalizm”, istnieją wzajemne wpływy i podobieństwa, ustalają się pewne typy nacjonalizmów. Ale istotne znaczenie ma to, co własnego wnosi naród w swoje życie i ten nacjonalizm jest coś wart, który wydobędzie ze swego narodu twórcze, rodzime pierwiastki.

ROMAN RYBARSKI

Z POWODU PLEBISCYTU

POLSKA opinia publiczna, jest zaniepokojona losami plebiscytów, które, zgodnie z żądaniami rządu polskiego, miały się odbyć na czterech obszarach Czechosłowacji, zamieszkanych przez mniej więcej zwarte skupienia ludności polskiej. Nie tylko na terenie powiatu fryddeckiego z mieszaną ludnością polsko-czeską, lecz również na obszarach Spiszu, Orawy i Czadeckiego z ludnością polsko-słowacką, autochtoni mieli wypowiedzieć się, czy pragną powrotu do Polski.

Dziś o plebiscycie na ziemiach polsko-słowackich jest głucho, a przecież plebiscyt na terenach etnograficznie spornych jest rzeczą najwłaściwszą, choć nie jest dobrze, gdy nowa granica, powstała w rezultacie takiego plebiscytu, staje się linią mechanicznie wykreśloną, jako wypadkowa głosów *pro i contra*. Taka linia, nie licząca się z właściwościami terenowemi, z ukształtowaniem oro i hidragraficznym, a, co najważniejsze, z tradycją historyczną nowo nabytych krajów — biegnąca fantastycznemi zygzakami, wywoływałaby u obu zainteresowanych stron mimowolne marzenie o zaokrągleniu granic. Śląsk Górny jest najlepszym przykładem mechanicznego podziału z pogwałceniem nie tylko historycznych praw polskich, ale poprostu wbrew logice i... estetyce czegoś, co stanowiło skończoną całość. Wystarczy spojrzeć na mapę.

Być może, iż w obecnej dobie zamętu, panującego na całym obszarze republiki nadwełtawskiej, byłoby możliwe bezplebiscytowe wcielenie terytoriów polsko-słowackich do Polski, oczywiście z zapewnieniem miejscowym Słowakom kulturalnej i politycznej autonomii. Takie radykalne rozwiązanie sprawy nie wydaje się jednak właściwe, gdyż usposobiłoby to wrogo do nas nowego sąsiada — młode państwo słowackie, pozatem przybyłaby nam jeszcze jedna mniejszość — niewątpliwie bardzo miła, ale raczej... zdaleka. Zresztą, jest to dyskusja akademicka, gdyż na wcielenie tych terenów bez głosowania nie zanosi się narazie.

Więc jeżeli już ma być plebiscyt — to niech wyniki głosowania staną się dla obu stron jedynie punktem wyjścia do mądrze przemyślanej przebudowy granic; należy przy tem pamiętać, że prowincja, która przez dziesięć wieków stanowiła jedną geopolityczną całość — to nie tort, który można krajać wzdłuż i w poprzek.

Powiększenie Rzeczypospolitej o jedną czy dwie całe prowincje uszczęśliwi każdego z nas daleko więcej, niż wzbogacenie Jej, powiedzmy, o czternaście skrawków ziemi powykrawanych — ni w pięć ni w dziewięć — z różnych prowincji sąsiada. Z drugiej strony każdy Słowak-patriota przeboleje raczej utratę jednej, czy nawet dwóch prowincji, niż okaleczenie kilku.

Nie wiemy, jaki będzie wynik plebiscytu na terenach polsko-słowackich (o ile taki plebiscyt wogóle odbędzie się). Za kogo w decydującej chwili uzna się bierna, narodowo nieuświadomiona, etnograficzna masa Spiszu i Orawy. Większość bowiem tej ludności — ta większość, od której uzależnione są wyniki plebiscytu — to poprostu „tutejsi” o bardzo mglistej świadomości narodowej.

Niewątpliwie, że ludność ta jest z pochodzenia polska, że pozostaje pod wrażeniem naszych ostatnich bezkrwawych zwycięstw, że wreszcie mocarstwowa potęga Polski imponuje jej i pociąga ją oddawna. Z drugiej jednak strony działać tu będzie siła przyzwyczajenia do rządów czeskich i słowackich oraz pewna nieufność do Polski szczepiona przez miejscowych księży Słowaków od czasu decyzji ambasadorów z 1920 roku, przyznającej Polsce skrawki Spiszu i Orawy. Powstanie niezależnej Słowaczyzny niewątpliwie jeszcze bardziej skomplikuje sytuację.

W każdym razie jeżeli za połączeniem z Polską opowie się około połowa ludności spornych terenów — powinniśmy, zamiast kolekcjonowania skrawków, które znowu przypadłyby nam w udziale — wziąć w posiadanie ściśle ograniczone tereny Orawy i lewobrzeżnego Spiszu, — o ile nasze maksymalne żądania: Orawa i cały Spisz nie mogłyby być zaspokojone. Czadeckie, bowiem, stanowiące część składową księstwa Turczańskiego, oddzielone od Śląska górami, a przez to samo ciążące raczej ku Słowaczyźnie, w walce plebiscytowej przydać się nam może jedynie, jako większe skupisko polskich głosów. W chwili wyznaczenia nowych granic, Czadeckie, po dokonaniu wymiany ludności, winno przypaść Słowacji na rachunek tych głosujących, którzy opowiedzą się za nią.

Nasze minimalne żądania to Orawa i Spisz Północny (po lewej stronie Popradu), którego granice od północy stanowi Dunajec i linia, łącząca Szczawnicę z Piwniczną, od zachodu — Białka i Tatry Wysokie, od południa i wschodu Poprad. Nasze maksymalne żądania — to Orawa i cały Spisz aż po Hornad.

Wszelkie inne sztuczne podziały, biegnące po linii, wyznaczonej przez głosy *pro i contra*, stanowiłyby wieczne źródło zaognienia stosunków sąsiedzkich między Polską i Słowacją. Ze względów natury psychologicznej, o których wspomnieliśmy już, każda strona marzyłaby o wyrównaniu granicy na swą korzyść — a my chcemy, by przynajmniej nasza granica południowa była wyznaczona raz na zawsze. Poza tem wszelkie sztuczne podziały byłyby gwałtem wobec tradycji tych krajów.

P. dr. A. Dem. na łamach „Wieczoru Warszawskiego” pisze, że nie chodzi nam o Tatry, lecz o ludność polską z tamtej strony granicy. Za pozwoleniem! Chodzi nam również o Tatry, choć są bezludne. Chodzi nam o ten najwspanialszy w

środkowej Europie system górski, bo stać nas na to, abyśmy żądali czegoś więcej, niż tylko chleba powszedniego. Jeżeli mała Czechosłowacja mogła nam zabrać $^5/_6$ obszaru górskiego, chociaż nie przedstawiał on dla niej żadnej wartości praktycznej, to i nas stać na to, aby zażądać zwrotu tych terenów. Oczywiście, nie całości Tatr. Granica polsko-czesko-słowacka (czy polsko-słowacka) na tym odcinku musi być przedłużeniem granic plebiscytowych. Została zresztą wyznaczona przez samą naturę.

Jeżeli za punkt centralny dotychczasowej granicy weźmiemy przełęcz Liliowe (jako miejsce zetknięcia się Tatr Zachodnich z Wysokimi) to linia graniczna biec powinna, jak dotychczas, przez cały obszar górski, oddzielający Podhale od Liptowa t. j. do Rysów. Tu winna skręcić pod kątem prostym, nie w kierunku północnym, jak dotychczas, a na południe, docierając po linii prostej do Szczyrbskiego Jeziora, leżącego na granicy lewobrzeżnego Spiszu i Liptowa.

W ten sposób przypadłyby nam całe Tatry Bielskie oraz cały obszar Tatr Wysokich (oprócz pasma Krywania), a więc: Garłuch, Lodowy, Łomnica i szereg pomniejszych szczytów.

Na zachód od Liliowego granica biec powinna, jak dotychczas, aż do Jarząbczego Wierchu, potem przez oba Rohacze i przełęcz Smutną, Trzy Kopy, Pachollę i Salatyński Wierch, następnie przez niższe szczyty tatrzańskie i Hale Liptowsko-Orawskie, przez Wielki Chocz do Szipu. Po przecięciu rzeki Orawy pod Kratowanami, granica biegła by wschodnią rubieżą Wielkiej Farry, przebiegając przez jeden z najcudniejszych zakątków Europy o krajobrazach wręcz alpejskich.

BOHDAN GĘBARSKI

DOLA I NIEDOLA OLIVERA CROMWELLA

(W 280 ROCZNICĘ ŚMIERCI)

OLIVER Cromwell (ur. 1599, um. 1658) był jednym z najzdolniejszych i najenergiczniejszych władców angielskikch. Przez całe życie chodziło za nim powodzenie, a niedola dosięgła go dopiero po śmierci, gdyż z jego systemu rządów w Anglii nie pozostało nic, jedynie w historii zajmuje on poczesne miejsce.

Cromwell rozpoczął swą karierę polityczną około 1643 roku w czasie wojny domowej (1642—1648) między królem Karolem I-szym (1625—1649), a t. zw. Długim Parlamentem, powodem zatargu były rządy samowładne króla Karola I-go, który przez długi czas usiłował rządzić bez parlamentu i nakładać podatki bez tegoż przyzwolenia; prócz tego grały tu rolę sprawy religijne, gdyż król popierał Kościół episkopalny, a w parlamencie przeważali presbiterianie (uznający tylko księży z wyłączeniem biskupów). Na początku wojny okazało się zaraz, że wojska parlamentu nie mogą podołać mniej licznym, lecz zdolniejszym do boju (jako złożonym ze szlachty) wojskom królewskim; wówczas dzięki niezwykłym zdolnościom Cromwella została zorganizowana fanatyczna i wybornie wyćwiczona armia, złożona głównie z rzemieślników i proletariatu miejskiego. Armia ta w bitwie pod Naseby 14.VI.1645 zadecydowała o losie wojny domowej. Parlament odniósł nad „samowładnym królem" stanowcze zwycięstwo — ale okazało się, że panią sytuacji jest zwycięska armia w której przeważał od początku radykalniejszy od presbiterianizmu kierunek kościelny t. zw. independentyzm (nie uznający nawet kapłanów), którego zwolennicy byli natomiast w parlamencie w mniejszości.

Rozpoczęły się zatargi między armią a parlamentem, przerwane wznowieniem wojny domowej wskutek ucieczki króla z niewoli wojsk parlamentu w której się znajdował. Gdy ta wznowiona wojna domowa skończyła się ponowną klęską wojsk królewskich, a król Karol dostał się znów do niewoli, independenci, którzy tymczasem armię zupełnie opanowali, dokonali gwałtu na parlamencie, by go zrobić sobie powolnym; oto dnia 6 i 7 XII 1648 r. pułkownik Pride otoczył gmach parlamentu i powyrzucać kazał żołnierzom z gmachu względnie do niego nie wpuszczać posłów presbiterianów, tak że w parlamencie pozostało zaledwie 60 do 70 (na przeszło 300) członków samych presbiterianów. Duszą i sprawcą tych „pułkownikowskich" rugów był Cromwell, który jednak obłudnie wzywając Boga na świadka, udawał, że o tem nic nie wie, „atoli gdy raz się stało, to, co się stało, utrzymać należy". („Dzieje powszechne" Fr. Schlossera T. XV str. 163). Parlament w ten sposób oczyszczony, nazwany odtąd kadłubowym był powolnem narzędziem wojska, ustanowił trybunał celem osądzenia króla, którego stracono 31.I.1639 — a następnie zniósł władzę królewską, i mianował rząd prowizoryczny.

Ponieważ Cromwell działał na razie poza kulisami przez swoich „waletów" *à la* Pride, Hugh Peterson i t. d. a niebawem wraz z wojskiem udał się na podbicie Irlandii i Szkocji, które uznawały za króla Karola II-go, syna straconego Karola I-go — parlament przyjąwszy do swego grona pewną liczbę wyrzuconych ongiś członków i uzupełniony w ten sposób do około 150 — rządził znów jakieś parę lat aż do powrotu Cromwella. Ten ostatni zgniótłszy powstania szkockie i irlandzkie — okryty sławą zwycięscy — powrócił do Londynu w 1653 r. i zaczął zaraz walkę z parlamentem, który stracił coprawda wszelką popularność u narodu, w którym przeważali rojaliści. Gdy parlament nie chciał się rozwiązać i rozpisać nowych wyborów, Cromwell dopuścił się ponownego gwałtu w dniu 19.IV.1643 r. Oto wprowadził do gmachu parlamentu 300 muszkieterów i w mowie pełnej grubiańskich zwrotów oświadczył, że „duch Boży wstąpił w niego", a parlament nazwał zbiorem kuglarzy i wszeteczników („Historia Nowożytna" T. III opracowana wedle wydawnictwa Spamera przez A. Szczepańskiego str. 312) przyczem nie zadawalając się tem, pojedyńczych członków obrzucał obelgami. Henryka Vane nazwał kuglarzem, który nie zna słuszności ani wiary, Chalonnera pijanicą, Martyna i Wentwirtha nikczemny-

mi drabami — w końcu kazał żołnierzom powypędzać członków parlamentu z sali (Schlosser „Dzieje powszechne” T. XV. str. 296—298). Tak parlament, musiał słuchać grubiaństw uzurpatora, który pomógł mu uwolnić się z pod „tyranii” króla; a trzeba było po niewczasie przyznać, że król ten, choć wprawdzie rządził samowolnie, a z parlamentem obchodził się wyniośle i często się bez niego obywał, lecz nigdyby się nie był odważył dopuścić takich gwałtów i pozwolić sobie na takie wyrażania jak Cromwell, czujący za sobą brutalną siłę bagnetów.

Następny parlament został wybrany wedle list dostarczonych przez gminy independentów — powinien był zatym być zupełnie oddany Cromwellowi; a jednak i z tym parlamentem zwanym od nazwiska jednego z jego członków parlamentem Barobone'a, mianowanym raczej, jak wybranym, nie mógł żyć Cromwell w zgodzie; coprawda zasmakowawszy we władzy, wzorem zwyczajnym uzurpatora zaczął się przechylać na prawo, a w parlamencie i w społeczeństwie zaczęły brać górę jeszcze radykalniejsze kierunki od independentów, jak anabaptyści, kwakrzy i Zrównywacze (coś w rodzaju komunistów). Dość że Cromwell w parę już miesięcy po wyborach 12.XII 1653 r. zmusił parlament do nadania mu godności protektora, a następnie przy pomocy wojska do rozwiązania się.

Teraz Cromwell był już oficjalnym Naczelnikiem państwa brytyjskiego i dzierżył tę godność aż do śmierci przez lat 5 (1653—1658). Rządy jego pod względem polityki zewnętrznej były dla Anglii pomyślne; zakończył wojnę z Holandią korzystnym pokojem dla Anglii; stoczył zwycięską wojnę na morzu z Hiszpanią... Te jednak powodzenia nie mogły poprawić smutnych stosunków wewnątrz Anglii. Pierwszy parlament za czasów protektoratu zwołany w r. 1654 został już 22.I 1655 rozwiązany, skoro chciał się uważać za równorzędną władzę względem protektora. Cromwell opierał się tylko na armii czuł jednak, że jego rządom brak podstawy legalnej, zwłaszcza w Anglii, której ludność miała od wieków zakorzenionego ducha praworządności, a opinia publiczna uważała ciągle za prawowitą władzę prawodawczą Długi Parlament (rozpędzony w 1653).

Drugi parlament zebrany w czasie protektoratu w 1656 nie robił opozycji z prostej przyczyny, że żołnierze, obsadziwszy drzwi gmachu, nie wpuszczali członków opozycji, o ile mimo nadużyć wyborczych byli wybrani. Wykluczeni szerzyli jednak opozycję wśród społeczeństwa, która wzmagała się coraz bardziej. Ostatni parlament otworzony przez Cromwella w styczniu 1658 r. był już zupełnie opozycyjny. Wówczas Cromwell postąpił swoim zwyczajem. Wygłosiwszy w parlamencie mowę na pół pobożną, a na pół obelżywą oświadczył, że rozwiązuje parlament, a mowę zakończył słowami: „Bóg niech sądzi między wami a mną” „Amen, amen” zawołała opozycja.

Od tej chwili rządził Cromwell wyłącznie wojskiem, ale... już niedługo... zbliżał się kres życia tyrana... Choć do końca życia towarzyszyło mu powodzenie, czuł, w ostatnich miesiącach swoją tragedię i przyszłe bankructwo swego systemu. I nic dziwnego... Wypłynął przecież jako obrońca parlamentu i praworządności, a stał się potem pogromcą obu tych rzeczy.

Co do przekonań politycznych był przecież zwolennikiem skrajnej partii independentów, a pod koniec życia zbliżył się tak do rojalizmu, że mu nawet ofiarowywano koronę a lordowie byli gotowi skoligacić się z jego rodziną... Wystąpił przeciw „tyranii” króla, a sam stał się najgorszym tyranem... W dodatku czuł, że opozycja przeciw niemu rośnie z prawej i lewej strony, a i na armię nie może już zbyt liczyć. Toteż ostatnie miesiące jego życia były nie do pozazdroszczenia. Żył w ciągłej obawie zamachu na swe życie i dla bezpieczeństwa nieraz co noc zmieniał sypialnię, a pod ubraniem nosił drucianą koszulkę...

Dziwnym zbiegiem okoliczności śmierć jego (3.IX.1953 r.) zbiegła się z rocznicą jego triumfu, t. j. zwycięskich bitew pod Dunbar (1650) i pod Worcester. (1651). Pochowany został z przepychem w opactwie w Westminster, gdzie były i groby królewskie.

Cromwell wedle pamiętników współcześnie żyjącego sir Johna Keresby odznaczał się „powierzchownością nie odpowiadającą jego charakterowi. Nie był piękny; ubiór jego był skromny i niedbały; przytym miał łzy na zawołanie i był bezwątpienia najobłudniejszym człowiekiem na świecie”.

Też na uwagę zasługuje fakt, że w czasie swego panowania zawiązali z nim stosunki żydzi, celem umożliwienia powrotu swym współwyznawcom do Anglii, skąd przy końcu XIII-go wieku zostali wygnani. Żydzi też za jego rządów osiedlali się w Londynie i niebawem (już po jego śmierci w 1663 r.) wznieśli synagogę.

Szczęście, jakie towarzyszyło stale planom, zamierzeniom i dziełom Cromwella, opuściło je zaraz po jego. śmierci.

Niebawem została przywrócona do swych praw pozostała resztka (50 posłów) „Długiego Parlamentu”, który mimo rozpędzenia go w roku 1653 przez Cromwella nie stracił w opinii społecznej miana prawowitości, jako że został wybrany jeszcze przed rewolucją w czasach normalnych. Zebrał się on 16.XII 1659 r. wśród okrzyków wojska, które go niegdyś rozpędziło. Tak praworządność została przywrócona, a parlament w połowie marca 1660 r. własną uchwałą orzekł swoje rozwiązanie i rozpisał nowe wybory i po 20 latach zakończył w sposób legalny i praworządny swoje istnienie. Wybory przeprowadzone w sposób bezstronny, wolny od nacisku i nadużyć dały większość rojalistom i jeszcze tego samego roku 29.V król Karol II (1660—1685) wjechał tryumfalnie do Londynu.

Nastąpiły represje wobec morderców królewskich z których 10-ciu zostało straconych. Ciało Cromwella choć z królewskim przepychem pochowane, zostało jednak odgrzebane, powieszone a następnie ścięte i to w rocznicę stracenia króla (30.I.1667) dla zadośćuczynienia prochom królewskim, („Dzieje powszechne” Schlossera t. XV, str. 529); ówczesne bowiem pojęcie prawne dozwalało sądzić i karać buntowników, uzurpatorów zdrajców stanu, nawet po ich śmierci — o ile za życia byli zbyt potężni, by ich się dało ukarać. Tak też było i z Cromwellem do którego, sądząc po jego losach, można z całą słusznością zastosować znaną sentencję łacińską: *Sic transit gloria mundi.*

WŁADYSŁAW WIELOWIEYSKI

Z KORESPONDENCJI C. NORWIDA:

RESZTA LISTÓW DO KS. W. CZARTORYSKIEGO

DO DRUKU PODAŁ STANISŁAW PIGOŃ

JAK BYŁO do przewidzenia, jak to zresztą przewidywał sam wydawca, zeszłoroczne wydanie Listów C. Norwida przez Miriama nie zamknęło sprawy dalszego zbierania korespondencji poety, tak niemiłosiernie po świecie rozproszonej. Do wydanego bloku listów (wydanie Miriama objęło ich 846) zaczęto odrazu zgłaszać uzupełnienia.

I tak: A. Czartkowski ogłosił cztery dalsze listy do K. Górskiej („Prosto z mostu" 1938 nr 4. Przypomniany tam list piąty, o modlitwie, został przez Miriama niewątpliwie przeznaczony do zespołu „rozprawek epistolarnych", które w jego wydaniu mają stanowić osobny oddział pism prozaicznych). Inny list podał tenże wydawca ostatnio w „Kurierze Warszawskim" (nr 270 z r. b.) St. Wasylewski zaś upomniał się o miejsce dla krótkiego bileciku do Bogumiły z Dąbrowskich Mańkowskiej, ogłoszonego przezeń w „Tyg. Ilustr." 1937, ponownie w „Gazecie Polskiej" 1938 nr 111. Razem więc dodano już pominiętych listów sześć.

Do tego pocztu doda się ninie dalsze sześć listów nie objętych wydaniem zbiorowym. Skierowane są one wszystkie do ks. Władysława Czartoryskiego, pochodzą z dziesięciolecia 1861—1871, a dotyczą spraw zarówno artystycznych jak i politycznych, które zaprzątały podówczas myśl poety. Zwłaszcza do stanowiska jego wobec wypadków powstania styczniowego dorzucają te listy parę nieobojętnych szczegółów.

Zachowały się wszystkie w zbiorach Biblioteki XX Czartoryskich wśród korespondencji ks. Wł. Czartoryskiego, przechowywanej w Archiwum Domowem.

St. P.

1.

Drogiego czasu Waszej Książęcej Mości nadużywać uważałbym sobie za przestępstwo, choćby właśnie dlatego, iż Książę względami Swymi raczyłeś mię zaszczycić. Ale z jednej strony nie jestem świadom urządzeń, z drugiej szkice moje, które jako proporcjonalną do możności i sprawiedliwą składam dziesięcinę dla wenty polskiej, zostały groźnie zakazanymi w ojczyźnie przez osobny edykt policji państwa, a przeto świadczyć mogąc o dziwnie inkwizytorskiej Rządu naturze, usprawiedliwiają mię poniekąd, iż tak drobną rzeczą zaprzątam Księcia.

Nie chcę pominąć, że miło mi jest także przez Jego ręce tę pracę moją ofiarować, albowiem Dostojna Siostra Księcia pani hr. Działyńska sama rysuje, a utwory moje mają tę smutną stronę dotąd, iż tylko dla dotykających się sztuki bywają dostępne. Egzemplarzy jest 100.

Proszę o przyjęcie wyrazów głębokiego uszanowania. Sługa

1861 Cyprian Norwid.

Poeta nie zaznaczył bliżej daty listu, da ona się wszelako określić. Dn. 7 grudnia t. r. donosił on M. Sokołowskiemu, że cenzura rosyjska nie dopuściła do Warszawy pakı z odbitkami litograficznymi ryciny jego p. t. S o l o. Tę to rycinę oddał on właśnie na przedświąteczną wentę polską, gdzieś około połowy tego miesiąca, przesyłając ją na ręce ks. Władysława Czartoryskiego i jego siostry hr. Izy Działyńskiej. Reprodukcję ryciny podał Miriam w tomie A „Pism Zebranych". List niniejszy pozwala ustalić losy nakładu owej odbitki litograficznej, w przypisach Miriama (s. 1084) jeszcze nie wyjaśnione.

2.

Mości Książę.

Dyrygować opinią, nie mając własnego dziennika (choćby ku temu, aby takowy zachował i uprzytomniał ciąg rzeczy), dyrygować mówię tym niestałym żywiołem bez organu samoistnego — jest to nieustannie odgadywać, zgadywać i wskazywać częstokroć n a p r z ó d takie punkta, od których kardynalnie przygotowywa się zepsucie.

Dziś takowym punktem jest co następuje:

„La Presse", 15 février 1863:

„Oublier que L'Empereur Alexandre II a pris spontanement l'initiative de l'abolition du servage en Russie il nous parrait manquer de mémoire..." etc.

Racz Mości Książę polecić, aby jak najspieszniej zwrócono uwagę na ten punkt *en faisant prouver la manque de mémoire par la citation des paroles de S. M. Alexandre II lui même. Ces paroles sont:*

A la Noblesse Lithuanienne á Vilno,

le 15 février 1858.

Je vous remercie de votre cooperation du sort des paysans. Vous avez été les premiers à donner l'exemple et tout l'Empire vous a suivis.

Alexandre II.

Niech Książę raczy łaskawie darować, iż z powodów na wstępie listu napomkniętych forma niniejszego pisma nie jest taką, jaką życzyłbym sobie widzieć, bo musi to już być zgadywanie i okazywanie naprzód punktów, od których z pierwszym powinięciem się nogi cała opinia psuć się zacznie.

Inna zaiste byłaby forma i systematyczność pracy tej samej, gdyby we 24 godzin po wybuchu był *en feuilles volantes* dziennik w kształcie bulletynów. Gdyby tenże w 6 dni był już dwa razy na tydzień wychodzącym pismem, a w 12 dni monitorem bieżących elementów.

Czego ponieważ nie ma, przepraszam Księcia za doraźny ten list mój niniejszy, i zostaję z głębokim poważaniem. Sługa

Cyprian Norwid.

1863, 15 *février*.
Faubourg de Poissonnière 131.

Norwid przez bardzo długi czas nosił się z zamysłami osobnego dziennika (czy tygodnika) emigracyjnego, którego rad był zostać współredaktorem. Z zamysłem tym zwraca się w r. 1863, jak teraz widzimy, do ks. Czartoryskiego, potem do Kraszewskiego, do Wł. Bentkowskiego, — wszędzie

bezskutecznie. List niniejszy przynosi konkretny przykład, jak Norwid wyobrażał sobie zadanie i charakter takiej publikacji. Dodać można, że wiadomość o piśmie (a może i jego tekst) cara Aleksandra II powziął Norwid najpewniej od Br. Zaleskiego, który w r. 1858 był członkiem centralnego Komitetu dla spraw włościańskich w Petersburgu.

3.

20 *février* 1863

Mości Książę!

1-o Co do lazaretu — można się było spodziewać tego wszystkiego, co unastępnia się przez samą naturę uczucia i naturę miejsca, — czyli że poczciwe serca polskie z jednej strony, a z drugiej bliski Kraków, spowodują coś do przytułku podobnego. Tego spodziewać się zupełnie można było, ale szło raczej o to, aby przypadkowość zastąpić odrazu i z góry regułą.

Szło o to, że konsulowie mogą i powinni h u m a n i t a r n i e tam dać porękę w rzeczy, która jest p o n a d - p o l i t y c z n a, która jest l u d z k a. Szło o to, że takowe oparcie się miłosierdzia o dwóch konsulów chrześcijańskich mocarstw w interesie ponad-politycznym, że mówię takowe oparcie się nadałoby godność historyczną temuż samemu woluminowi miłosierdzia i zamieniło takowy na o r g a n. Dlatego to poruszało się tę kwestię od pierwszej chwili, zaraz, a poruszało się ją organicznie, przez ogromne ciało i patentowanę z góry, bo przez Towarzystwo św. Wincentego à Paulo. Mediacji i poręki takowej owoce daleko ważniejsze byłyby od ukazów samego moskiewskiego księcia Konstantego. Żadna albowiem władza, choćby nie wiem jak chciała, nie ukróci tam barbarzyństwa, i to jest zawsze grzech pierworodny takich władz, że tego nie są w stanie dokonać. A zaiste, że jeden szpital, w którym uszanowani byliby publicznie ranni, zwłaszcza bez względu na chorągiew, jeden taki publiczny szpital dopiąłby tego, czego już sami wodze tych barbarzyńców, choćby chcieli, nie dopną. Z tych to przyczyn na czasie poruszało się tę myśl i o takowym to mowa była lazarecie.

2-o Co do dziennika — niemniej ufać można było w następliwość elementów, które pressę francuską agitują, tak jak udramatyzowane zręcznie pasje mogą otrzymywać efekta do cnót podobne. Ale nie szło o to, tylko o to, iż w dziennikach cudzoziemskich to co Polski dotycze jest zazwyczaj redagowane j e d y n i e s t r a t e g i c z n i e, że przeto nie koniecznie, lub nie każdy ze źródła takowego wyczerpuje to właśnie, co znać trzeźwo potrzeba człowiekowi decydującemu się na czyn polityczny. Wiadomo jest, że już dziś podrzędny generał na polu bitwy pressę i drukarnię miewa, tak dalece jest to w XIX wieku potrzebą. Nasi nawet tam, w warunkach ostatecznych postawieni, a pomnieć o tym są zmuszeni. Dla tych to przyczyn o dzienniku własnym i właściwym mowa była.

Wprawdzie wszystkiego tu trudne jest dopięcie, bo nie jest się nigdy prorokiem między bliskimi nam zewnętrznie, ale za to dziś już przecie można czasem spodziewać się dobrowolności przychylnej nawet z tych sfer b a r d z o o d n a s w s z y s t k i c h w y ż s z y c h, to jest: gdzie trzy korony na jednym czole spoczywa! To pocieszać może, dodając sił.

Książę raczy łaskawie darować, iż popełniam niegrzeczność, albowiem nie oczekuję na odpowiedź Jego w zamian listu, który doraźnie posłałem był. Objaśnienia niniejsze dwóch myśli bieżących, to jest lazaretu i dziennika, gwoli temu tylko przesyłam, iż na braku onych ucierpiałaby kompletność starań. A jestem już w tym wieku, w którym nietylko się odpowiada za to, czego się gorąco pragnie, ale właściwiej za to, czego się we właściwej godzinie dopełnia.

Łączę wyrazy głębokiego uszanowania—najniższy sługa

Cyprian Norwid

Faubourg Poissonnière 131.

Wnet po wybuchu powstania styczniowego rozwinął Norwid wcale żywą agitację za założeniem szpitala dla ofiar walki, zarówno Polaków jak Rosjan. Opierając się na zasłyszanych zamiarach Papieża i na spodziewanej inicjatywie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, chciał przyczynić się do realizacji tej myśli i usiłował zjednać dla niej społeczeństwo wielkopolskie (list do Bentkowskiego z dn. 9.II w 1863) i dyplomację francuską (przy pomocy hr. Montalemberta). Starania nie odniosły skutku doraźnego, ale idea odżyła niebawem w organizacji międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Norwid mógł się uważać słusznie za jednego z jego prekursorów.

Druga część listu dotyczy wspomnianego już wyżej zamysłu dziennika powstańczego. Zwrócenie się do Czartoryskiego również zostało bezowocne. Zwracając się później z tąż myślą do Kraszewskiego, wspomni Norwid; „30 przeszło dni temu przedstawiłem to ludziom możnym i książętom świata tego; odpowiedzieli mi, że pressa zagraniczna jest dobrze usposobiona w ogóle". Odnosi się to niewątpliwie do powyższego listu. W ten sposób uzyskujemy stąd wskazówkę chronologiczną i dla listu do Kraszewskiego (w wydaniu Miriama nr. 316): pisany był wnet po 20 marca 1863 r.).

4.

Mości Książę!

O nic nigdy prosić Waszej Książęcej Mości uważałem sobie za sprawiedliwe na wygnaniu zadanie, i przyjemniej było mi oglądać, że to stało się przez lat wiele wyjątkiem szczególnym, — tak dalece obyczaj domu Książąt uwzględniał i uwzględnia wszystko.

Jakoż—kiedy miałem sposobność i zaszczyt mówić ostatni raz z Waszą Książęcą Mością, prosiłem tylko, ażeby dopełniony i ukończony mój ołtarzowy obraz nie był Mu obojętnym i na to jedno liczyć za stosowne sobie uważałem.

Ale inaczej się zrządziło skutkiem może nieznanych Księciu okoliczności... i mam oto przerwę nagłą mojej pracy, a pracy, którą tego lata chcę zupełnie ukończyć.

Może—stało się to dlatego, abym i ja wiedział, że niepodobna jest, licząc się przez lat tyle do Emigracji, nie być w czymkolwiekbądź Księstwu Czartoryskim uciążliwym, i że w tej mierze wyjątek nikomu nie dozwolony jest.

Muszę przeto przedstawić Waszej Książęcej Mości, że ś. p. Generał Hrabia Zamoyski był łaskaw przez ręce Wielmożnego Bronisława Zaleskiego dać mi nadzieję, iż bardzo mu będzie przyjemnie nie pozostawić mię w bieżącej pracy mojej dla kościoła na moich tylko osobistych środkach i rękojmiach.

Imię to w publicznych dziejach znamienite, a dla mnie wielce szanowne (bo ja, jeszcze kiedy

nie byłem w Emigracji, miałem zaszczyt znać i u siebie widywać ś. p. hrabiego Władysława Z.), imię to zapewne że nie radbym był dopiero w takiej wzmiankować okoliczności, a zachować je na coś poważniejszego.

Logika wszelako nakazuje mi, abym wylegitymował Waszej Książęcej Mości, dlaczego przez Ręce Wielmożnego kolegi mojego Bronisława Zaleskiego, a świadomego przy tym rzeczy sztuki, proszę Waszej Książęcej Mości o niezostawienie mię na te lato, to jest na ciąg skończenia mego płótna, bez wszelakiej ze strony Księcia pomocy.

Przechodząc do technicznych określeń, myślę nawet, że gdyby to na teraz Waszą Książęcą Mość uciążyć miało, tedy wystarczyłoby, aby Książę polecił tylko swojemu Bankierowi, ażeby mi dano kredyt na kilka miesięcy na kwotę stu kilkadziesiąt franków,—co kwitem moim formalnie na czas zaspokoiłbym, a następnie potrafiłbym sam wypłacić i zaspokoić, dlatego, że za kilka miesięcy (jeżeli mi posłuży zdrowie) powinienem mieć publiczność francuską i trochę europejskiej, — przestałem albowiem pisać!

Proszę, ażeby Książę raczył przyjąć wyrazy mojego głębokiego poważania

Cyprian Norwid

rue Lallier nr 3

1868 marca.

Jeszcze w r. 1866, gdy SS. Miłosierdzia, prowadzące w Paryżu dobroczynny Zakład S. Kazimierza, otrzymały posiadłość w Juvisy, przełożona ich, Matka T. Mikułowska, zwróciła się do Norwida z prośbą o obraz do wielkiego ołtarza. Obraz miał przedstawiać widzenie św. Stanisława Kostki. Norwid podjął się zadania bezinteresownie, a o pokrycie kosztów obrazu zwracał się do J. Koźmiana, do Cieszkowskiego, do Wł. Zamoyskiego. Zamoyski okazał tej sprawie „łaskawe współczucie" (zob. listy nr. 423 i n.), wnet jednak wyjechał z Paryża i zmarł (8.I.1868). Z kolei zwraca się artysta z prośbą do Wł. Czartoryskiego. Prośba odniosła skutek. Na autografie listu zanotowano decyzję Księcia: „100 fr. przez p. Bronisława Zaleskiego". W liście (nr 503) do Br. Zaleskiego Norwid potwierdził odebranie zasiłku.

5.

2 lipca 1871

Mości Książę!

Ja bardzo przepraszam, wszelako zawiadomienie na niedzielę 2 lipca o pół do 2-ej odebrałem właśnie że 2 lipca w niedzielę o pół do 2-ej, a nietylko że tak je odebrałem, ale i nie pierwej doniosła je do domu poczta, z tej smutnej przyczyny, iż pomimo tego wszystkiego, co się oficjalnie głosi, poczty jeszcze nawewnątrz i nazewnątrz unormalnienia oczekują. Nie śmiejąc Księcia Jegomości utrudzać, po dwakroć będę się starał *à mes risques et périls* poszukiwać (po przyszłym wtorku), czyli Waszej Książęcej Mości nie utrafię w hotelu Lambert.

Zaś utrudzać nie śmiem, albowiem po szczególe o nie mającej ogólnego charakteru rzeczy mówić zamierzałem.

Zostaję z głębokim poważaniem powolnym i gotowym sługą.

C. Norwid.

...O rzeczach ogólnych zaledwo za osobnym Księcia pozwoleniem począłbym mówić, nietylko dlatego, że są arcysmutne, ale i dlatego, że politycznej żadnej wagi nie mam, i jeżeli tu za teroryzmu podnosiłem głos i protestowałem publicznie, do odmówienia służb terorystycznej komunie nakłaniając, lub inne tejże treści akty pełniłem,— to jedynie na tym prawie, że godność człowieka i chrześcijanina obrażone i zagrożone będąc, przez to samo prawo protestu nadawały każdemu... Lecz skoro ten stan przeszedł, prawa żadnego nie mam.

Co więcej, iż myślę, że położenie Emigracji jest zupełnie na nowo wyjątkowe i że radykalnego wymagałoby pomyślenia, na które żadna pojedyńcza osoba nie wystarczy. Nawet osobiste sukcesje stosunków, źródeł, środków i możności, które Wasza Książęca Mość (po służbach ś. p. Księcia Prezesa Rządu Narodowego polskiego) odebrałeś w spadkobierstwie, myślę, że nadużytymi albo niewystarczającymi nieraz okazywać się mogą,—tak dalece na nowo chorągiew Emigracji polskiej jest w posadzie swojej naruszona. Akt jakiś generalniejszy, a przeto radykalniejszy, donośny i uzasadniony reprezentacją stosowną i trafną, musiałby poprawić te ciężkie szwanki!..

W rzeczy przeto bardzo nieogólnego charakteru i prawie że osobistej mając zamiar prezentować się, będę sam poszukiwał (po przyszłym wtorku), czyli zastać Księcia potrafię.

O wspomnianych tu wystąpieniach Norwida za czasów komuny 1871 r. informuje notka w wydaniu „Listów do Br. Zaleskiego" (Kraków 1937, s. 60).

6.

Mości Książę!

Pani hr. de R., żona Senatora państwa, Generała Dywizji, Adjutanta Jego Cesarskiej Mości hrabiego de Roguet, a który Jego Książęcej Mości księciu de Nemours jest blisko i zdawna znany, mówiła mi dziś z wielkim uradowaniem o przyszłym Waszej Książęcej Mości małżeństwie.

Tak odosobniony żyję, i jedynie starych widując znajomych, że z pewniejszego źródła, ale też i życzliwszego Waszej Książęcej Mości, dowiedzieć się o tym nie mogłem.

La comtesse avec sa grande bonté m'a presque autorise, Prince, à Vous exprimer, combien tout le monde s'en rejouit.

Odpowiedziałem Jej, że pogłównie Osoby tak bezstronnie zacnego jak Jej serca albo ci co ode-

brali polityczne wychowanie, albo ci co sobie je dać mogli, są w możności ocenić pierwszego (po Habsburgach) aliansu ważność.

Nie czekając, aż się podoba Waszej Książęcej Mości znaleźć chwilę, w której podoba się Księciu mię przyjąć, mam zaszczyt te parę słów poczcie zwierzyć jako jeden z arcydawnych i zapewne najmniej niestety (bo tylko w czasach ogólnego interesu) zaprzątających Go znajomych i sług.

Cyprian Norwid

1871 *Décembre.*
rue Lallier 3. *Paris.*

[Na czwartej stronie arkusika adres własny:]

Mr C. Norwid (:*de*:) *Chevalier de Malte etc. rue Lallier nr 3. Paris.*

Książę Wł. Czartoryski wstąpił powtórnie w związki małżeńskie z księżniczką Małgorzatą Orleańską, córką ks. de Nemours, ślub odbył się z początkiem stycznia 1872 r. — Bliska znajomość Norwida z hr. Marią de Roguet przetrwała do ostatnich lat jego życia. Informacja zawarta w adresie, jakoby C. Norwid był kawalerem maltańskim, jest odosobniona. W liście do Zamoyskiego z r. 1863 wspominając o tym zakonie zaznaczył Norwid. „Ja, który tytularnie nie jestem dotąd zakonu tego członkiem“ (Krechowiecki, II 171).

...POCIESZYCIELKO NASZA!...

Mój kwiatuszek, mój synaczek zsiniał...
Więcem go porwała na ręce
Obronić, własnym ciepłem spowinąć,
Zgłuszyć oddech kwilący—w piosence...
Nie obroniłam, nie ogrzałam,
Jenom go w śmierć wśpiewała, wkołysała,
Biły dzwony, grała jasna niedziela,
Gdy synaczek na rękach mi zbielał.

— A czyżem Ci go Panno święta nie ofiarowała,
Gdy z miłości i z bólu i z mego narodził się ciała?
Zawierzyłam-ć w tej samej chwili,
Gdy krzyk jego nieba mi uchylił.
Lśniący ryngraf zawiesiłam nad kołyską,
By Ci do niej było blisko!
U kołyski klękałam, nad nią błyszczała rozpięta
Mych nadziei, Twych promieni zasłona cienka:
Uchroń mi go, zachowaj,
O można, o wierna, o Boża!

Zaraz w nocy, kiedy mi zachorzał,
Ślubowałam iść do Częstochowy,
Z Częstochowy przez kraj cały piechotą
Biec do Ostrej Bramy złotej,
Z Ostrej Bramy lecieć do Kodnia, —
Krzyżem padać i szeptać co dnia
Aż do śmierci litanię, różaniec!

Podeptałaś płacze błagalne,
Ogłuchłaś na modły mszalne,
Pozrywałaś śluby na nic!
Tu, w tym piasku mój synaczek leży!
Gdy do dołu trumienkę spuścili,
Pewno tam zachybotał i głowinkę przechylił,
Com ją na listkach ułożyła świeżych,
Na miękkich włoskach—jak len...
Kto mi go pokaże? Kto opowie,
Jako główkę pochylił w grobie
Mój synaczek na wieczysty sen?

— Rzuciłaś mnie, zielsko wyrwane na drodze!
Niech rozpaczą się od Ciebie odgrodzę!
Czemu jasność mnie ściga, szemrzą tuż Twe kroki?
Wracaj, gwiazdo nieczuła, w obłoki!

— Nie odpędzisz ty mnie, nie odgonisz —
Mych ran siedem na nowo krew roni,
Jako brzoza wrosłam nad grobem.
Nie wyłamiesz, ani wykorzenisz!
Nie potłumisz płaczącej zieleni,
Pochylonej nad twoją żałobą!

— Twoje rany dawno zgojone!
Niebieską nosisz koronę!

— Moje rany nigdy się nie zgoją,
U podnóża krzyża wiecznie stoję —
Ból spod cierni, spod gwoździ płynie.
Za wysoko—pot otrzeć Mu z powiek!
Żadna matka nigdy się nie dowie
O mych cierpień spieczonej głębinie.

— Aleś swego hołubiła tyle wiosen,
Wybujałym nacieszyłaś się kłosem!
Mój-ci pomarł, ledwo zaszczebiotał,
Zatrzepotał — — — o świcie złotym.

— Gdym radośnie dwie synogarlice
Wniosła Ojcu w podzięce, na nice
Odrętwiały weselne pienia!
Poglądałam przeorana mieczem
W mego Boga dziecięctwo człowiecze,
Drżąc przed męki wzbierającym cieniem.

— Pośredniczko nasza! Korne modły
Do sosnowej trumienki mnie zwiodły!

— Wszelkie modły, by westchnienia najlichsze
W nieba niosę tajemne śpichrze,
W gospodarstwo Ojca, Syna, Ducha:
Czyli zawrą odrzwia czasu głodu,
Czy obdzielą sytych czasu godów,
Miłość słupem rozżarzonym bucha.

— Z sił opadam, nie staje mi głosu...
Jakoż brzemię czarne uniosę?

— Jam jest pierwsza, com za nim je niosła,
Jako wezwał. On mnie tobie posłał.
Nie uciekaj! Gdy mi ból swój dasz,
W krzyż zmieniony zarzucę-ć na ramię — — —
Lecz pod łaski pełen wpierw pójdź namiot,
Pod mój gwiezdny przygarnij się płaszcz.

— Gdzie on? Powiedz, zanim Ci ulegnę,
Czy świergoce? Czy płacze rzewnie?

— Gardzić twemi prośbami nie raczę:
Żyje wiecznie twój mały synaczek — — —
Cichaj, cichaj, więcej nie pytaj!
Nikt na ziemi nie ujrzy jęczący
Jaśniejącej zorzy ponad słońcem...

— Matko moja! Do serca mnie przytul!...

AGNIESZKA OSIECKA

NA WIDOWNI

Powrót Adolfa Dygasińskiego. — Studium prof. Szweykowskiego. — Czy to dramat? — Talent Dygasińskiego nie zawiódł. — Filozof czy poeta. — Dygasiński i Reymont. — Zwycięski przebój poety.

W ZESZŁYM tygodniu podaliśmy radosną wiadomość, że nareszcie dochodzi do skutku pełne wydanie powieści i nowel Adolfa Dygasińskiego, obejmujące 33 tomy. Dobrze się też stało, że na krótko przedtem pojawiło się w krytyce literackiej dzieło bardzo pomocne do należytego rozumienia i podziwiania talentu tego znakomitego twórcy. Oto uczony badacz literatury, prof. Zygmunt Szweykowski wydał (u Gębethnera i Wolffa) studium p. t. „Dramat Dygasińskiego" (stron 229). Jest to pracowita analiza etapów, które przebywała muza tego pisarza, poczynając od najpierwszych obrazków na poły dydaktycznych aż do wspaniałego hymnu „Godów życia", którym ten poeta-myśliciel ukoronował swoją twórczość.

Linię tej drogi uważa Szweykowski za wysoce dramatyczną dla Dygasińskiego. Dlaczego? Bo meta, do której doszedł jako poeta, znalazła się nie tam, gdzie sobie zakładał w młodości, wchodząc na pole pisarskie. Wchodził na nie jako naturalista, naładowany wiedzą o przyrodzie i jako pedagog z kagańcem oświaty, pragnący narzucić społeczeństwu znajomość praw natury, które rządzą losami człowieka tak, jak każdego innego stworzenia. Dalszy rozwój myśli, pełen wahań i sprzeczności, doprowadził Dygasińskiego poprzez panteizm do widzeń metafizycznych, do bankructwa poglądów materialistycznych pozytywizmu i do abdykacji na rzecz neo-romantyzmu.

Jak widzimy, może tu być mowa jedynie o bankructwie f i l o z o f i i Dygasińskiego, ale trudno uznać to za dramat człowieka, gdy znajdzie on tak szczęśliwy wylot z ślepej uliczki, w którą go zagnał duch czasu. Tembardziej nie było w tem dramatu dla poety. Było to wyzwolenie poezji z niemiłosiernych więzów materialistycznego na świat poglądu.

Rodzi się kwestia, czy wogóle sprawa „poglądu" może być dramatyczna, dramaty bowiem są udziałem życia uczuciowego. A wnet potem kwestia druga, tycząca krytyki: czy filozof i poeta to jedno i to samo?

P. Szweykowski popełnia błąd, który stał się już zwyczajem polskich analityków poezji, że traktują poetę jako popularyzatora systemów filozoficznych. Odrazu w rozdziale pierwszym, pragnąc uchwycić rys główny indywidualności Dygasińskiego, za punkt wyjścia bierze jego poglądy, wyczytane świeżo z książek i nie dające żadnego pojęcia o jego indywidualności.

Chodzi o to, czy przystępując do badania poety (artysty) nie należy zapuszczać sondy nieco głębiej pod powierzchnię wyobrażeń, — w jego ustrój psychiczny. Skoro za aksjomat uważamy twierdzenie, że poetą nie można się stać, trzeba się nim urodzić, to nie można szukać zagadki poetyckiego losu w tej czy w innej doktrynie, boć poeta z nią się nie urodził. Mieliśmy przykład, jakie kłopoty sprawia krytykom Norwid z powodu tego braku decyzji w metodzie: czy traktować danego pisarza jako myśliciela, czy też jako poetę.

Pisało się niedawno wiele o Świętochowskim. Doskonale możemy go zestawić z Dygasińskim jako myśliciela. Umieli to samo, takie same poglądy mieli na świat, te same doktryny. Świętochowski świetniejszym był nawet stylistą, głośniejszym pisarzem, ale przecież to wszystko nie robiło go poetą, a Dygasiński nim był.

Natomiast Dygasińskiego doskonale można zestawić z Reymontem, jako talenty jednorodne i bodaj sobie równe, aczkolwiek Reymont nie miał wykształcenia i żadnego uzdolnienia filozoficznego. Świętochowski zdawał sobie sprawę, że nie jest poetą. Nie lubił poetów i widocznie zastanawiał się dobrze nad tem, co go od nich różni, skoro napisał rozprawę „Poeta jako człowiek pierwotny", co w czasach kultu rozumu i wiedzy nie było w jego oczach komplementem dla poezji. Ale Świętochowski miał rację. Istota daru poetyckiego, z którym człowiek się rodzi, leży w wyjątkowej wrażliwości najpierwotniejszego zmysłu, mianowicie czucia życiowego, rodzica wszystkich zmysłów, któremi człowiek odbiera doznania w zetknięciu się ze światem. Świętochowski sam tego zmysłu nie miał.

Gdy mózgowcy doszukują się prawdy przez doświadczenia naukowe lub spekulacje rozumowe, poeta ma potrzebę docierania do niej bezpośredniego przy pomocy zmysłów za instynktem, który jest mistrzem intuicji. Reymontowi starczyła za prawdę dopatrzona rzeczywistość. Dygasiński miał tę wyższość, że stać go było poza tem na refleksję i konstrukcję myślową. Wykraczał, ponad potrzeby powieści, w świat poezji ideowej Był większym od Reymonta poetą, co nie sprzyjało jego popularności.

Same zmysły przez to, że ostro postrzegają zjawiska życia, nie dają poetyckiego plonu; nie każdy człowiek pierwotny, świetnie posługujący się zmysłami, jest poetą. Reymont czy Dygasiński doszli do artyzmu nie przez samo ostrowidztwo, lecz przez sposób przeżywania doznań. To znaczy, że każde zzewnątrz odebrane wrażenie trafiało u nich na cudownie zapamiętane i skojarzone z sobą doznania dawniejsze, które w nich grały podświadomie za każdem dotknięciem, jako reakcja wyobraźni.

Taki czuły aparat mają dusze, które pamiętają życie poznane uczuciami, nie zaś tylko intelektualnie. Uczuciowe podłoże jest organizatorem ich wyobraźni. Poeta—to serce, nie mózg, poeta albo jest w entuzjazmie, albo cierpi. Poeta typu Dygasińskiego wszystko widzi w kategoriach życia, uderza ono w niego wszelkiemi objawami, a w każdym z nich bystra jego intuicja dopatruje się w lot radości życia lub też zarodu śmierci.

I te przeżycia, które świat, targany sprzecznościami i cierpieniami, każe poecie we wrażliwej duszy w spotęgowaniu wyobraźni powtarzać, te dopiero są dla poety żywiołem dramatycznym. Ten stosunek uczuciowy do świata—to stały dramat poetów lirycznych, dramat typu Prometeuszowego w rozmaitej postaci i skali powtarzany.

Dygasiński był poetą lirycznym. Szweykowski, mówiąc o dramacie Dygasińskiego, ma na myśli zawód, jaki sam sobie zrobił, że nie sprostał rozumem zagadnieniom życia. Swoją uczuciową

uległość wobec świata uważał za słabość. Ambitnym był wyznawcą rozumu, podobnie jak Bolesław Prus wstydził się łez. Na progu swej kariery literackiej mówił: „Nie można zrozumieć, jak ludzie mogą mówić o prawdziwych uczuciach w oderwaniu od rozumu... W kształceniu uczuć ludzkich idzie się od głowy do serca, bo rozum tylko jest fundamentem uczuć czystych“...

Tak mówił filozof, ale potem — jako poeta — przekonał się, że wszystkie prawdy, do których dotarł, dały mu się poznać dzięki uczuciom, mianowicie za sprawą miłości i entuzjazmu. To nie był dramat, raczej radosne odkrycie, wynagradzające konfuzję doktrynera pozytywisty.

Ośmielam się natomiast zrobić zarzut cennej pracy Szweykowskiego, że nie ustrzegła się przytoczonego wyżej wzoru: „od głowy do serca”. W badaniu poetów trzeba iść odwrotnie: od serca do głowy. Poetą bowiem jest ten, który potrafi odnaleźć i wyrazić swoją prawdę indywidualną. Teorie książkowe do wszystkich należą, postawa uczuciowa—tylko do danej indywidualności.

Oczywiście bogactwo umysłowe Dygasińskiego, pomnożone rozległą wiedzą, dawało mu wielką przewagę nad podobnym z talentu Reymontem, ale to bogactwo było tylko materiałem, którym dysponował poeta.

Studium Szweykowskiego jest wzorowe jako analiza utworów, porządkująca całą twórczość Dygasińskiego według etapów, które przechodziła jego myśl filozoficzna, ustępująca po trochu coraz więcej miejsca entuzjazmowi i humanizmowi. Autor świetnie przedstawił walkę, jaką w duszy Dygasińskiego toczył racjonalizm przyrodniczy z liryzmem poety. Ukoronował zaś tę analizę rozbiorem szczegółowym „Godów życia”, gdzie bohaterem jest mały ptaszek Mysikrólik, pokorny piewca życia, rozlanego we wszechstworzeniu.

Szweykowski wyspecjalizował się w badaniu czasów pozytywizmu. Bez takich studiów, jak jego monografia o „Lalce” Prusa, lub bez „Dramatu Dygasińskiego” trudno byłoby powiązać dzieje literatury XIX wieku z dobą neoromantyzmu, stosunkowo lepiej znaną niż okres Prusa i Dygasińskiego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

Ś. P. PUŁKOWNIK WŁADYSŁAW BELINA-PRAŻMOWSKI

Odszedł w zaświaty na wieczną wartę w 50-m roku życia pierwszy kawalerzysta odrodzonej Polski, bohater walk wyzwoleńczych, reprezentant pokolenia, co się ocknęło z trującego czadu niewoli, Mohortowy „rycerz spod szyszaku”.

Żałuje Go cała Polska: nietylko towarzysze broni, ale i ci, co poznali jego szkarłatną sławę z piosenki, tak w swoim czasie popularnej, jak żadna może wcześniej czy później.

Zagończyk o Kmicicowej fantazji, sprawca słynnego patrolu z dn. 2 sierpnia 1914 r., kiedy to w sześciu ludzi wyruszył pieszo w granice potężnego imperium rosyjskiego, a wrócił triumfalnie konno.

Był to moment narodzin polskiej jazdy czasu Wielkiej wojny.

Zdobywca przy pomocy kawaleryjskiego manewru Wilna na bolszewikach, odegrał także Belina niepoślednią rolę w działaniach wojskowych na wschodnich i południowych rubieżach Rzeczypospolitej.

„Niemasz pana nad ułana, a nad lancę niemasz broni”. Pułkownik Belina-Prażmowski wskrzesił do życia najbardziej ze wszystkich broni ukochaną — kawalerię, a że jej proporców dumnie strzegł, sława mu po wsze czasy.

NAUKA I LITERATURA

NA MARGINESIE PEWNEJ KSIĄŻKI[1])

(KILKA MYŚLI FILOZOFA O POLITYKU I O POLITYCE)

MÓWIĆ o myśli filozoficznej i religijnej męża stanu zdaje się być na pierwszy rzut oka *contradictio in adiecto*, cóż bowiem może być wspólnego między zwróconym wciąż w kierunku Czynu politykiem, a pogrążonym w rozmyślaniach i kontemplacji filozofem, czy mistykiem?

Tak by się zdawało na pierwszy rzut oka. Dopiero gdy na tę sprawę spojrzymy głębiej, dopiero gdy sięgniemy myślą do tych najgłębszych pokładów naszej psychiki, z których wykluwa się prawdziwy czyn, przekonamy się, że czyn w prawdziwem tego słowa znaczeniu, czyn, który byłby naprawdę czynem, a nie tylko przemijającą bez śladu efemerydą, musi zawierać w sobie ustosunkowanie się do Bytu jako do Całości, musi być odpowiedzią jednostki ludzkiej na postawione jej przez tę Całość pytanie, musi, jednem słowem, być wynikiem pewnego, mniej lub więcej świadomego, ustosunkowania się do tej Całości, to jest wynikiem pewnej postawy kontemplatywnej względem tej Całości, czyli pewnej, więcej lub mniej uświadomionej, postawy filozoficznej czy religijnej.

Im ta postawa jest bardziej określona, bardziej sprecyzowana i bardziej twórcza, tem wynikający z niej czyn będzie bardziej określony, bardziej sprecyzowany i bardziej twórczy i naodwrót: im ta postawa będzie bardziej nieokreślona, bardziej chwiejna i bardziej niezdecydowana, tembardziej czyn z niej wynikający będzie nieokreślony, chwiejny i niezdecydowany.

Tu, w jakości tej postawy, (filozoficznej, czy religijnej), w stosunku do rzeczywistości, w jej określoności, sprecyzowaniu i głębi (nie, broń Boże, w zdolności usystematyzowania jej w tym, czy innym języku filozoficznym [2]) leży klucz do odróżnienia prawdziwych ludzi czynu, wielkich polityków i wielkich reformatorów, których czyny wytyczyły na wieki całe bieg historii i cywilizacji ludzkiej, od ludzi czynu i polityków tylko z imienia — „politykierów”, których czyny nie przeżywają zwykle nawet

---

[1]) Armando Carlini. *Filosofia e Religione nel Pensiero di Mussolini. Instituto Nazionale Fascista di Cultura. Roma 1934.*

[2]) Mój Boże, cóżby konkretnego pozostało z wielu (i uchodzących za sławne!) systemów filozoficznych po usunięciu z nich tego, co jest tylko intelektualnym ubiorem i grą czczych igraszek logicznych, a wewnątrz których nie ma żadnego szkieletu — żadnej konkretnej wizji rzeczywistości jako Całości.

swych twórców, jeśli wręcz nie prowadzą do katastrofy kierowanych przez nich społeczeństw [3]).

Czyny pierwszych płyną z jaknajpełniejszego i jaknajwszechstronniejszego ustosunkowania się do Całości, z wczucia się w najgłębsze potrzeby i aspiracje kierowanych przez nich społeczeństw [4]), z jednej i określonej wizji celów i przeznaczeń historycznych, które mają realizować, czyny drugich są tylko prostemi odruchami wrażliwości lub kaprysami wyobraźni (często chorej lub niedorozwiniętej), a w najlepszym już wypadku tylko tworami rachującego i mierzącego intelektu.

Przepaść, która oddziela Cezara od Mariusza czy Kaliguli, Ludwika XIV-go od Pawła I-go czy Napoleona III-go, Mussoliniego od Briand'a czy Benesza — to przepaść między ludźmi tych obu typów, przepaść między twórcami i reformatorami historii i cywilizacji, a karierowiczami, fantastami i kupczykami.

Polityka — to nie kariera, nie fantazja, nie handel lecz twórczość, wielka twórczość: „Że polityka jest sztuką nie można o tem wątpić. Nie jest nauką, nie jest także czystym empiryzmem. A więc jest sztuką. Także ponieważ w polityce intuicja odgrywa wielką rolę. Twórczość polityczna, podobnie jak twórczość artystyczna, jest powolnem wykluwaniem się i nagłem rozjaśnieniem. W pewnej chwili artysta tworzy przez natchnienie, polityk — przez decyzję. Obaj pracują materią i duchem. Obaj dążą do ideału, który ich pobudza i przerasta". (*„Che la politica sia un'arte, non v'è dubbio. Non è, certo, una scienza. Nemmeno mero empirismo. E, quindi, un'arte. Anche perche nella politica c'e molto intuito. La creazione politica, come quella artistica, è una elaborazione lento e una divinazione subitaneo. A un certo momento l'artista crea coll'ispirazione, il politico con la decisione. Entrambi lavorano con la materia e con lo spirito. Entrambi insegnono un ideale che li pungolo e li trascende*") [5]).

Prawdziwy polityk, jak i prawdziwy artysta, nie może widzieć i ujmować rzeczy w ich aspekcie względności, w ich aspekcie kinematograficznym, lecz musi umieć wznieść się w „atmosferę rzeczy nieskończonych i wiecznych" [6]). Z tego punktu widzenia rzeczywistość nie będzie już dlań (jak jest często dla „politykiera") chaosem plączących się nieskoordynowanych faktów, lecz wypadkową pewnych linii kierowniczych, pewnych tendencji immanentnych Całości. Wybrać z kilku nasuwających się w danej chwili ewentualności tę, która najbardziej z punktu widzenia historycznych przeznaczeń Narodu (nie z punktu widzenia jego doraźnych korzyści, który często jest, jak w jednostce, w przeciwieństwie do punktu widzenia jego historycznego przeznaczenia) jest odpowiednia, znaleźć sposoby jej realizacji i umieć pobudzić w tym kierunku energię twórczą całego narodu [7]) — to przymioty prawdziwego męża stanu i prawdziwego wodza swego narodu.

Błogosławione narody, którym Bóg takich mężów zesłał, by kierowali ich losami i prowadzili je do właściwych im przeznaczeń, błogosławione narody, które mają w swem gronie jednostki, wybiegające myślą ponad chwilę obecną i umiejące przetwarzać swe plany na historyczną rzeczywistość.

Tak rozpowszechniony, zwłaszcza w krajach o ustroju „demokratycznym", typ „zawodowego" polityka tak się ma do tego z prawdziwego zdarzenia i z łaski Bożej męża stanu, jak piszący wiersz o księżycu (czy o wódce) grafoman do Mickiewicza lub malująca „pejzaże" panienka do Rafaela, czy Tycjana. Pierwszy żyje życiem wewnętrznem całego Narodu, drugi jest zamknięty w ciasnem kole osobistych lub partyjnych sympatii i animozji, pierwszy wyczuwa w swem sercu najtajniejsze drgnienia duszy narodowej, drugi jest zamknięty dla wszystkiego tego, co nie jest związane z jego własną karierą, pierwszy ma jasną wizję celów historycznych i przeznaczeń dziejowych Narodu, drugi jest pochłonięty wyłącznie przez chwilę obecną, pierwszy tworzy historię, drugi może ją tylko małpować i karykaturować.

Prawdziwy polityk — to artysta, artysta najwyższego rzędu. Materią jego sztuki nie są już bryły, kolory, dźwięki czy nawet słowa lecz sami ludzie, konkretni ludzie. Z nich tworzy on swe dzieła — fakty historyczne, z nich urabia czynnik twórczy dziejów — zorganizowany, świadomy swego powołania i przeznaczenia Naród. Prawdziwy polityk jest wychowawcą swojego narodu i jednocześnie instrumentem samego Boga w Jego twórczem urządzaniu świata. Od Niego czerpie swą wiarę, swą moc i swą siłę: „Nie można dokonać nic wielkiego, jeśli się nie jest w stanie miłosnej namiętności, w stanie mistycyzmu religijnego" (*„Non si puo compiere nulla di grande se non si è in stato di amorosa passione, in stato di misticismo religioso*") [8]).

Polityka łączy się w ten sposób w najściślejszy sposób z mistyką, z kontemplacją rzeczy *sub specie aeternitatis*. Artysta realizuje Idee w świecie złudy, polityk w świecie konkretnej rzeczywistości. Pierwszy spirytualizuje materię, drugi samo życie.

STANISŁAW CZAJKOWSKI

---

[3]) Obecna tragedia Czechosłowacji, stworzonej i kierowanej dotąd przez ludzi pozbawionych zdolności szerszego historycznego widzenia rzeczywistości i dążących jedynie do osiągnięcia za wszelką cenę doraźnych korzyści, jest jakżeż wymowną ilustracją tego wyróżnienia polityków - twórców i polityków tylko z nazwy!

[4]) „Rządzić", mówi Mussolini, „to czuć we własnym sercu bicie serca całego Narodu" (*„Governare significa sentire nel proprio cuore battere il cuore di tutto il popolo"*). *Por. Discorso nel quinto anniversario della fondazione dei Fasci* (1924). Carlini (*op. cit.*) str. 69.

[5]) Z przemówienia Mussoliniego w Mediolanie z 15.II. 1926-go (Carlini, str. 22).

[6]) Mussolini. *Vita di Arnaldo*, p. 61.

[7]) „Mam, mówi Mussolini, jakby dotykalną i wizualną wrażliwość tego, co masy myślą i czego chcą w pewnej określonej chwili... Jeśliby ktoś chciał uczynić zamach na naszą niezależność lub na naszą przyszłość, nie przeczuwa on nawet, do jakiej temperatury podniósłbym cały naród włoski... namiętność całego tego narodu" (*Discorso di Livorno, 1930*; Carlini, str. 69).

Ta wygłoszona w przemowie w Livorno, w roku 1930, zapowiedź stała się faktem w ciężkich dla Włoch chwilach wojny abisyńskiej, podczas których poddany uchwalonym przez Ligę Narodów sankcjom naród ten wykazał niebywałe wprost walory hartu i siły duchowej.

[8]) Discorso allo Chiesa di Milano, 5.X.1922 (Carlini, str. 21).

RUCH WYDAWNICZY

Eliza Orzeszkowa. „Listy". Tom II p. t. „Do literatów i ludzi nauki" część druga. Opracował Ludwik Brunon Świderski. Instytut Wyd. „Biblioteka Polska"

i Tow. im. Orzeszkowej. Warsz. 1938. 4° str. 429. 6 ilustracyj. Cena brosz. 10.—, opr. 12.50).

Świeżo wydany tom „Listów" Elizy Orzeszkowej, stanowiący drugą część zbioru „Do literatów i ludzi nauki", nie tylko dorównywa ale—śmiało twierdzić można—przewyższa bogactwem treści i walorami artystycznemi oba tomy poprzednie. Co się rzuca odrazu w oczy, to niezwykła rozpiętość skali tego zbioru. Dawno już Tow. im. El. Orzeszkowej w Warszawie, będąc — jak wiadomo — inicjatorem i twórcą tego tak cennego dzieła, wyszło poza swe przebogate, przez piętnaście zgórą lat gromadzone mrówczą pracą materiały epistolograficzne najznakomitszej w Słowiańszczyźnie autorki, teraz jednak, w tym świeżo wyszłym tomie „Listów", przekroczyło granice Rzeczypospolitej i polskiego języka.

Znajdujemy tutaj bowiem—obok listów do zapomnia nych dziś literatek polskich: Wilhelminy Zyndram-Kościałkowskiej, Józefy Ostoi-Sawickiej, Eugenii Żmijewskiej, które zwracały się po radę do starszej a sławnej koleżanki po piórze, dalej do znanej improwizatorki Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej), do d-ra Ignacego Baranowskiego, prof. Aurelego Drogoszewskiego, Mariana Dubieckiego. Józefa Kotarbińskiego, Marii Cz. Przewóskiej, Kazimierza Zdziechowskiego—dwa różnojęzyczne dwugłosy: polsko-ukraiński, ze znakomitym powieściopisarzem i poetą bratniego narodu, Iwanem Franko, oraz polsko-czeski, z wielkim poetą, synem „cierpkiego pobratymcy" Jarosławem Vrchlickim.

Są to dwugłosy, bo wydawcy raz jeszcze zastosowali oryginalną a tak entuzjastycznie przyjętą przez czytelników i krytyków metodę drukowania listów Orzeszkowej razem z odpowiedziami jej znakomitych korespondentów. Za tymi dwoma dwugłosami następuje trzeci — o formie niezwykle pięknej, wprost poetyckiej, a treści do głębi wzruszającej—dwugłos Orzeszkowej ze świetną poetką Marylą Wolską. Bohaterem tego dwugłosu, który zawiera spowiedź serca czystego a biednego, jest... mistrz Paderewski.

Pod względem treści na czoło wybijają się listy do A. Drogoszewskiego. Malują one historię Polski po roku 1863. Przynoszą materiał, którego nie może zlekceważyć nietylko już historyk literatury, ale w równym stopniu historyk dziejów społecznych i kultury polskiej w drugiej połowie XIX w.

Dla „zwykłego" czytelnika, nie naukowca dostarczają „Listy" Orzeszkowej jedynej w swoim rodzaju lektury. Zwłaszcza tom obecnie wydany stać się może jedną z najdroższych książek, tyle w nim spostrzeżeń głębokich, uczuć ludzkich rzeczy zawsze nam bliskich. Pełno w nim aforyzmów żywych, myśli przepięknych.

Tom ten, jak i poprzednie, opracował, nie szczędząc trudu ni czasu, Ludwik Brunon Świderski, starszy asystent U. J. P. Piękną szatę graficzną dał mu Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska". Na zbliżające się wieczory zimowe—lektura bardzo pożądana: piękna i pouczająca!

NOWE KSIĄŻKI

Dmowski Roman. Dziesięć lat walki (1895—1905). Pisma, t. III. Częstochowa 1938. A. Gmachowski. Str. 405.

Morawski K. M. Od Stambułu do Golgoty. Z pielgrzymki do Ziemi świętej. Katowice 1938. K. D. K. Str. 88.

Pleśniewicz Andrzej. Karol H. Rostworowski. Szkic literacki. Warsz. 1938. Str. 22.

Wasiutyński Wojciech. Między III Rzeszą a III Rusią. Warsz. 1938. „Rój". Str. 196.

Morawski M. K. i Moszczyński Kaz. Co to jest masoneria. Warsz. 1938. Księg. Prabuckiego. Str. 103.

Gugimoto Etsu. Córka Samuraja. Warsz. 1938. Renaissance.

Gulbranssen Trygwe. A lasy wiecznie śpiewają. Warsz. Pol. Tow. Poz. Ks. Pol.

ALEKSANDER MICHAŁOWSKI

JAKO CZŁOWIEK I ARTYSTA

WIERZYĆ się poprostu nie chce, że Michałowski nie żyje. Nazwisko jego i działalność przeszło półwiekowa zrosły się tak niepodzielnie z Warszawą, z Polską, że imię znakomitego szopenisty i pedagoga stało się jeszcze za jego życia symbolem najwyższych aspiracyj artystycznych. Sięgnijmy zatem do ubiegłego stulecia, aby pokrótce odtworzyć sylwetkę Aleksandra Michałowskiego jako człowieka i artysty.

Dają go nam Kresy, te same kresy ukraińskie, na których ujrzeli światło dzienne najznakomitsi muzycy polscy z Paderewskim na czele. Poszumu ich złotych pól słuchał Karol Szymanowski, Zarębski, Turczyński, Woytowicz...

Michałowski przychodzi na świat w Kamieńcu Podolskim jako jedyny syn Konstantego i Róży z Regulskich. Matka jego uprawiała grę fortepianową ponad miarę przeciętności; ona to pierwsza zaszczepiła małemu Olesiowi prawdziwe umiłowanie muzyki. Pierwsze wskazówki matczyne zaważyły następnie na całej przyszłości chłopca. Snać były one wartościowe, skoro już w dziesiątym roku życia mógł on zagrać utwór tej miary, co „Konzertstück" R. M. Webera. Rzecz szczególna, że do siedemnastego roku życia nie pobierał Michałowski lekcyj u nikogo z poza otoczenia domowego, pracował samodzielnie od chwili, kiedy suma wiadomości muzycznych, będąca w posiadaniu matki, wyczerpała się. Dopiero jesienią roku 1867, kiedy Michałowski ukończył lat szesnaście i szkołę średnią, pozwolono mu na wyjazd zagranicę na dalsze studia. Obiera Lipsk, będący wówczas Mekką dla muzyków. Zapisuje się tam do konserwatorium, wspartego o tak potężne filary, jak słynni Moscheles i Coccius. Ale Moscheles był już sędziwym starcem, znużonym wieloletnią pracą pedagogiczną i nie mógł zająć się swym utalentowanym uczniem, tak jak na to zasługiwał. Podobnie i Coccius, który z niemieckim pedantyzmem usiłował przerabiać naturalną i jakże już wówczas świetną grę Michałowskiego. Zniechęcony tem artysta opuszcza Lipsk, udając się do Berlina, gdzie bożyszczem muzycznem był Karol Tansig. Na pożegnanie z Lipskiem daje tam swój pierwszy w życiu koncert publiczny, grając w sali Gewandhaus'u koncert e-moll Chopina. Tansig dowiaduje się o istnieniu młodego pianisty polskiego z gorących recenzyj o tym właśnie koncercie. Mistrz niemiecki, dostanie się do którego było rzeczą bardzo trudną, samorzutnie zaofiarowuje Michałowskiemu miejsce w swojej klasie fortepianowej. Nareszcie odnalazł Michałowski to, czego tak długo poszukiwał. Lekcje z Tansigiem dały mu nie tylko wiarę w siebie, ale i podstawy wielkiej gry fortepianowej najprzedniejsze.

Wzbogacony i pełen doświadczenia powraca, już jako dojrzały pianista, do kraju. Był to rok 1874. Ośrodkiem muzycznym ówczesnej Warszawy jest Towarzystwo Muzyczne na czele którego stał kompozytor, Józef Wieniawski. W tym samym roku (1874) odbywa się w stolicy jego pierwszy koncert, urządzony pod auspicjami tegoż T-wa Muzycznego. Czytając sprawozdania, widniejące w pożółkłych rocznikach prasy ówczesnej widzi się jasno, że sukces tego koncertu był ogromny.

Krytycy „Kuriera Warszawskiego” i „Gazety Warszawskiej” zachwycają się nie tylko techniką artysty, ale i duchową głębią interpretacji dzieł Chopina, rokując Mu wielką przyszłość. Michałowski nie ustąpi w pracy. Pracuje nad sobą po kilka godzin dziennie, szlifując jeszcze bardziej technikę, wzbogacając swój repertuar. Ta natchniona praca, prowadzona metodą Moschelesa i Tonsiga wpływa jednak na rychłe przemęczenie układu mięśniowego. Michałowskiemu zaczyna grozić przeforsowanie rąk, które jak wiadomo, stało się przyczyną upadku nawet wielkich pianistów ubiegłego stulecia. Artysta zaczyna szukać własnej metody, nowych dróg technicznych. Gdyby nie to odkrycie, gra Michałowskiego zamilkłaby już przed czterdziestu laty. Uczniowie jego wiedzą najlepiej jak logiczną i mądrą była jego metoda. jak wielkie znaczenie miały słynne „palcowania”, planowość w dynamice, świetna pedalizacja.

Odtąd zaczyna się — niezależnie od działalności estradowej — najświetniejszy i najbardziej dla nas cenny okres w życiu Michałowskiego — jego działalność pedagogiczna. Poprzedza ją jeszcze jeden „wypad” zagranicę. Mam tu na myśli pobyt w Wejmarze i ostatnie „lekcje” wobec artysty tak znakomitego, jak Liszt. Michałowski opowiadał mi o tym, krótkim zresztą pobycie, ze czcią i uwielbieniem dla tytana fortepianu. Liszt— już wówczas (1878) stojący u szczytu sławy nie tylko zainteresował się talentem młodego Polaka, ale nie szczędził mu słów zachęty do wielkiej i w pełni zasłużonej kariery światowej. Jak wiemy — stało się inaczej. Przeważyło w Michałowskim umiłowanie kraju, zwłaszcza Warszawy, w której spędził przeszło 50 lat swojego pracowitego żywota. Przeważyła pedagogia, która niebawem wzięła górę nad wirtuozostwem. Tysiące uczniów i uczenic jego, częstokroć o siwiejących już skroniach, te trzy pokolenia pianistów, jakie wykształcił są tej pracy najszczytniejszym i oczywistym dowodem. O tym, najdłuższym okresie życia Michałowskiego wspomina Piotr Rytel w swoim cennym artykule jubileuszowym w sposób tak trafny, że pozwolę sobie zacytować jego fragmenty.

— Płyną lata, dziesiątki lat, pisze prof. Rytel, a wreszcie do pół wieku przybywa jeszcze lat dziesiątek, gdy nadchodzi dzień 60-ej rocznicy pracy Michałowskiego na arenie koncertowej i cóż widzimy: artysta jest wciąż doskonałym pianistą, a pedagog — nie mniej subtelnym profesorem! Ten fakt chyba do rzędu fenomenów zaliczyć można, przykładów bowiem podobnych trudno doszukać się w dziejach sztuki muzycznej!...

Wielostronność Michałowskiego jako pedagoga jest dobrze znana. Posiadał on bezprzykładną znajomość literatury. Obszerną, nie tylko w sensie ilościowym, ale niesłychanie dokładną, znał każdy takt, każdą nutę, każdy znak i szczegół opracowania...

Przedewszystkiem zdumiewała mnie jego niezwykła muzykalność i zmysł krytyczny. Michałowski „słyszał” każdą, niewłaściwą zmianę palców. Nie narzucał własnych palcowań, ale starał się je logicznie uzasadnić. Zato dobre wykonanie wprawiało go w niekłamaną radość. Wstawał od fortepianu i w rytmie wykonywanego utworu przemierzał swój wielki salon... Za chwilę znowu zasiadał przy drugim instrumencie aby w środku utworu uwypuklić uczniowi jakąś frazę, czy akcent. Michałowski lubił się dzielić z nami bogatą skarbnicą wspomnień z ubiegłego stulecia. Moscheles, Tausig, a zwłaszcza — Liszt, wielkie postaci muzyczne z jego epoki, nabierały w tych opowiadaniach żywego rumieńca bezpośredniości, którego nie potrafią przekazać karty historii. Ale najcenniejszymi dla nas wskazówkami była sama gra Michałowskiego. Przy końcu dnia lekcyjnego zasiadał niekiedy do fortepianu, grając niemal wyłącznie dzieła Chopina. Zachwycał nas swoją perlistą grą palcową, niezrównanymi „podwójnemi tercjami, glissandem oktaw w etiudzie gesdur op. 12... Słuchając w religijnym niemal skupieniu darowanych nam hojnie utworów, myślałem mimowolnie, że to może o s t a t n i, tak Chopina grać potrafi. To były najczarowniejsze lekcje, o których się nigdy nie zapomni.

Michałowski — pedagog uprawiał w latach późniejszych z zamiłowaniem kompozycję. Idąc w niej po linii umiłowań twórczych Chopina, zamknął się wyłącznie w ramach miniatury fortepianowej. Ale te 35 „opusów”, jakie patrzą na nas w dniu żałoby z okien księgarni Gebethnera — jedynego wydawcy, świadczą że niespożyta energia Michałowskiego szukała wciąż nowych dróg. Jego kompozycje odznaczające się nie tylko piękną linią melodii, ale i nadzwyczaj kunsztownym opracowaniem, pomimo iż zrodziła je epoka romantyzmu — są to dziełka wielkiego talentu i wartości. Są pomiędzy nimi i transkrypcje. Do najbardziej udanych zaliczyłbym opracowanie Impromptu As-dur Chopina w tercjach. Długi poczet kompozycji Michałowskiego, zbyt mało znany ogółowi polskiemu powinienby obudzić żywe zainteresowanie wśród pianistów.

Jako c z ł o w i e k, Michałowski odznaczał się niezwykłą skromnością. Życie jego codzienne wypełniała praca własna i — praca nad kształceniem młodych talentów. Dzień tego sędziwego starca był wypełniony muzyką, że nie starczało mu czasu na udzielanie się nazewnątrz. Rzadkie chwile, kiedy wolno mi było przeniknąć do zacisza domowego artysty, zwłaszcza zaś tradycyjnie obchodzony dzień Jego imienin były dla grona oddanych Mu przyjaciół prawdziwą ucztą. W ten wieczór lutowy na Okólniku, z wyżyn szóstego piętra, nieraz o bardzo już późnej porze płynęły ku nam tony Chopina. Było już po północy, a Michałowski grał jeszcze... I snuły się przed nami kaskady perlistych pasaży, smętek nokturnów, mazurki i polonezy, tak bardzo c h o p i n o w s k i e i tak bardzo p o l s k i e zarazem — Aż wreszcie z tych samych wyżyn szóstego piętra zadzwonił tragicznym echem dzwon żałoby. Nie stało Aleksandra Michałowskiego.

Mając u swoich stóp Konserwatorium, w którym spędził jako pedagog kilkanaście najlepszych lat życia — a w perspektywie — Warszawę, — miasto, z którym związał swoje długie życie — odszedł Michałowski w zaświaty.

A stało się to — dziwnym zaiste zbiegiem okoliczności, tego samego wieczoru październikowego, w którym 89 lat temu ukochany przezeń Chopin zakończył swoją doczesną wędrówkę.

W—b.

Z MOTYWÓW SZTUKI ŚREDNIOWIECZNEJ

TRUPI TANIEC

Decrescit luna,
Miedziana łuna
W przededniu śmierci
Ostatniej ćwierci
Kręgu księżyca
Ziemię oświéca.

W północnym mroku
Klątwa uroku
Strasznej Hekaty
Na śpiące chaty
Rzuca złowieszcze,
Piekielne dreszcze.

Przez smutne piachy
Widma i strachy,
Upiory, mary,
Zmory, koszmary,
Senną gromadą
Snują się blado.

Tłum trupów zgniły
Rzuca mogiły,
Sino-zielone
Ciała zbudzone
Plugawą zgrają
Z cmentarzy wstają.

Tłuste i chude,
Czarne i rude,
Łyse, włochate,
Cienkie, brzuchate,
Ścierwa cuchnące
Tańczą na łące.

Zbóje i łotry,
Diabelskie kmotry,
Chłopi, biskupi,
Mądrzy i głupi,
Ojcowie, matki
I małe dziatki.

Pany, szaraki,
Króle, żołdaki,
K...y, matrony,
Niewierne żony,
Smażone w piekle
Tańcują wściekle.

Tu grajek śmiele
Trąbi w piszczele,
Tam sucha ręka
Po żebrach brzęka,
Ów pustą głową
Stuka miarowo.

Z mnichem kokota
Tańczy foxtrotta,
Z wielkiej radości
Grzechoczą kości,
A akuszerka
Za nimi zerka.

Tibie, femury,
Bez szpiku rury
Chrupią, szeleszczą,
To głośno trzeszczą,
Niejedno ramię
W tańcu się łamie.

Ten tego łupi
Po czaszcze trupiej,
Aż zgniłe zęby
Sypią się z gęby,
Sam kruszy palce
W tej dzikiej walce.

Tu kruczowłosa
Piękność bez nosa
Miłości szuka,
Piętami stuka,
Jak kaskaniety
Klaszczą szkielety.

Ten znów dziewicę
Bije w miednicę,
— Broń się!—powiada,
A ta upada,
Nogami fika
Na napastnika.

Tam klub sportowy,
Każdy bez głowy,
Bo dla igraszki
Kopią swe czaszki
Wzorem futboli,
Po Bożej Roli.

Ha! kogut pieje,
Zaraz zadnieje,
Trupielcze bandy
Dość sarabandy,
A kysz, hołoto,
W mogilne błoto!

*

* *

A my, żyjący
Jeszcze na ziemi,
Módlmy się, bracia,
Za umarłemi,
Za grzeszne dusze
Mówmy pacierze,
Ojcze nasz, Zdrowaś
Maria i Wierzę!

ARTUR CHOJECKI

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.
PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.
Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.
Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.